

Brat POLAK

Z BRODNIA
w klasztorze

PROCES PAULINÓW

ADMONITIO 2021

*...Przechodzą lata... może wieki... Ciekawy potomek
otworzy napisaną kronikę klasztoru jasnogórskiego
i przeczyta: „W roku Pańskim 1910 ksiądz zakonnik
z klasztoru na Jasnej Górze, zwabiwszy do swej celi
w klasztorze stryjecznego brata, z którego żoną pozostawał w związku, zabił go siekierą podczas snu...”.*

Z mowy prokuratora Katranowskiego

OD AUTORA

Wszystko to, co opisano w tej książce, zdarzyło się naprawdę. Ponad sto lat temu, kiedy Polska znajdowała się pod rozbiorami, w Piotrkowie (Trybunalskim) przed Sądem Okręgowym odbył się proces karny księdza Damazego Macocha, paulina z Jasnej Góry, oskarżonego o morderstwo i inne przestępstwa. Powieść została napisana na podstawie publikacji prasowych zamieszczonych w gazetach wydawanych w tamtych czasach. To właściwie fabularyzowany „retro” reportaż kryminalny z tego procesu.

„Zbrodnia w klasztorze” stanowi prawdopodobnie pierwszy publikowany w Polsce opis całego, jednego z najsłynniejszych procesów karnych w Europie na początku XX wieku. Przy pisaniu książki autor korzystał między innymi z materiałów zgromadzonych w domenie publicznej Biblioteki Cyfrowej BN Polona; w tym z niżej wymienionej publikacji oraz wydań archiwalnych ówczesnych gazet. Dla oddania możliwie wiernego obrazu tamtych czasów autor starał się zachować oryginalny język dialogów i mów, jakie zostały wygłoszone podczas procesu sądowego. Dziennikarze obecni na procesie otrzymywali każdego dnia od sekretarza sądowego kopie protokołu rozprawy. Na tej podstawie pisali sprawozdania i komentarze,

które przesyłali telegraficznie do swoich redakcji. Zapewniło to dużą wierność wypowiedzi uczestników procesu.

Admonitio (z łac.) znaczy „przypomnienie”. Drugie znaczenie tego słowa to „przestroga”. I taki był zamiar autora, aby w wydawnictwie Admonitio przypomnieć historię ku przestrodze, gdyż jak mówi przysłowie: „Nie jesteś tym, kim jesteś, ale tym, kim możesz się stać”.

Brat Polak

W 1912 r. w USA wydawca A.A. Paryski wydał zbiór artykułów prasowych z gazety „Kurier Poranny” pt. „Proces ks. Damazego Macocha...”.

PROLOG

Piotrków (Trybunalski), 26 lutego 1912 r.

Jutro w nowym gmachu Sądu Okręgowego przy ulicy Kaliskiej zacznie się najsłynniejszy proces sądowy, jakiego na polskich ziemiach w całej ich historii dotychczas nie widziano. Będzie sądzony ksiądz paulin Damazy Macoch za zabicie męża swojej kochanki i kradzież pieniędzy z kasy klasztoru, a wraz z nim dwóch jeszcze zakonników z Jasnej Góry i inni oskarżeni. Proces będzie jawny, stąd chętniej publiczności do wejścia na salę nie brakuje, dlatego postanowiono wprowadzić bilety, które rozdawał sam prezes sądu Wołkow.

Na proces zapowiedziały przysłać swoich korespondentów liczne gazety, również zagraniczne, m.in. z Wiednia, Berlina, Rzymu i Paryża. Już wczoraj dotarli dziennikarze z Petersburga, Moskwy, Kijowa i Wilna. Dziś przyjechali z Warszawy, Krakowa, Lwowa i innych większych i mniejszych miast. Wszystkie hotele i pokoje gościnne są wypełnione przybyszami. Restauracje zatrudniły dodatkowych kucharzy i kelnerów. Na ulicach bez ustanku krążą dorożki, rozwożąc gości przybyłych na proces.

Na czas trwania procesu naczelnik warszawskiego okręgu pocztowo-telegraficznego delegował do Piotrkowa dwóch

telegrafistów z dodatkowymi telegrafami. Dziś wieczorem oczekiwany jest przyjazd z Warszawy konsulów państw katolickich jako obserwatorów procesu. Nocną salonką ma też przyjechać Prezes Warszawskiej Izby Sądowej senator Postnikow, a wraz z nim kilku dygnitarzy ministerstwa sprawiedliwości, oraz przedstawiciel generał-gubernatora warszawskiego.

Tym, co tworzy nadzwyczajne zainteresowanie społeczeństwa i władz w kraju, a także za granicą, nie są oczywiście sami zbrodniarze – bo zbrodniarzy i zbrodni nie brakuje na co dzień. W szczególności nie jest nim Macoch, który dokonał ordynarnego pospolitego morderstwa. Tym, co fascynuje ludzi w tej zbrodni, jest środowisko, w którym została ona popełniona. To okoliczności poprzedzające i towarzyszące zbrodni w miejscu otaczanym przez miliony ludzi najwyższą czcią. Tam w sanktuarium na Jasnej Górze, gdzie rozpalają się najwyższe i najszlachetniejsze uczucia ludzkie, okazało się, że istnieje ukryta tajemnica zła i grzechu.

Przecież nawet dla innowierców i niedowiarków Jasna Góra ma pewien urok, a któż z praktykujących katolików nie uważał za swój obowiązek przynajmniej raz w życiu pomodlić się w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, upaść na kolana przed Cudownym Obrazem Czarnej Madonny. Spowita w poetyckie legendy i historie Jasna Góra szczególnie została ukochana przez lud polski, który dąży tam i pielgrzymuje, aby zaznać pociechy w strapieniu i nieszczęściu. Ten lud, który po kilka godzin leży krzyżem na posadzkach kaplicy; który na kolanach obchodzi Cudowny Obraz; który z nabożeństwem na twarzach przygląda się każdej cegielce w klasztornych murach; który wręcz widział w ojcach paulinach prawie archaniołów pośredniczących pomiędzy nim a niebem; który wreszcie nieustannie niósł tam obfitą danię... teraz pyta sam siebie: W jakim celu to wszystko czynił?

By tuczyć Macochów i Starczewskich i dostarczać im środków na zabawy z kochankami, wojaże i eskapady po całej Europie? Oto bowiem w zamian za krwawicę składaną im przez lud, nie tylko, że z ducha swego nic nie dawali, to jeszcze gorszyli naród i zgorszyli...

Ten właśnie kontekst procesu jest ową magnetyczną siłą przyciągającą tak wielką uwagę do niego. A dodatkowo łączy się z nim ciekawość, czy nie mają oskarżeni czegoś wspólnego z rabunkiem złotych koron, pereł i cennych wotów z Cudownego Obrazu? Kto wie, czy w czeluściach tego procesu nie natkniemy się na owe struny, których poruszenie budzi wstręt i odrazę nie mniejszą niż zamordowanie siekierą człowieka podczas jego snu.

CZEŚĆ I – ZBRODNIA

Rozdział I

TRUP W SOFIE

Dnia 26 lipca 1910 r. nad ranem włościanin Marcin Cudak na drodze wiodącej ze wsi Gidle do Zawad w pow. Radomsko zauważył, że w odległości ok. kilometra od Zawad w przydrożnym rowie napełnionym wodą, w miejscu, gdzie rów jest głęboki, pływa jakaś skrzynia drewniana znacznych rozmiarów, przewrócona do góry dnem i przewiązana sznurami.

Ok. godziny 7 rano widział skrzynię w tym samym położeniu włościanin Jan Dąbrowski idący piechotą z Zawad do Gidl. Lecz gdy po pewnym czasie wracał tą samą drogą, zauważył, że skrzynię wyciągnięto z wody. Wystawała ona do połowy z rowu, część sznurów zostało rozwiązanych, a na drodze leżały poduszka i siennik. Podeszedłszy bliżej, Dąbrowski przekonał się, że to, co wziął za skrzynię, jest przewróconą do góry dnem sofą obitą czarną ceratą.

Dąbrowski, jak i Cudak nie przypuszczali, ażeby wszystko to miało jakieś szczególne znaczenie, i nikomu nie opowiadali o tym, co widzieli.

Dopiero ok. godziny 11 przed południem jacyś przejeżdżający przez Zawadę włościanie, przywoławszy pasącego niedaleko tej wsi bydło chłopca Stanisława Juraszka, kazali mu, by poszedł do gminy w Konarach i zawiadomił o leżącej tu w wodzie tajemniczej sofie.

Juraszek polecenie wykonał.

W południe przybył na miejsce pisarz gminny Kazimierz Kondracki i starszy strażnik Jan Bajrasz. Z ich polecenia sofę wyciągnięto z wody i rozwiązano sznury do końca. Gdy podniesiono wieko, znaleziono wewnątrz rogożę ze znakami rosyjskimi „Ju Ż”, 257744, nr 34, stare futro pokryte czarnym sukniem, poduszkę w czerwonej powłoczce, dwa nieduże chodniki z włókien roślinnych. Wreszcie na samym dniu ujrzano trupa mężczyzny średniego wzrostu w wieku ok. lat trzydziestu, ze spokojnym wyrazem twarzy i na wpół otwartymi oczami. Włosy zmarłego były rudawe, miał on takiegoż koloru długie wasy, niewielką brodę i małe bokobrody. Oprócz pokrwawionej bielizny, okrywającej dolną część ciała, na trupie żadnego ubrania nie dostrzeżono. Nadto trup był owinięty w koldrę brązowego koloru, głowę miał rozbitą, owiniętą w dwa prześcieradła, nogi i ręce związane; z prześcieradeł wykrajano znaki. W pobliżu któryś z włościan zauważył na drodze drugą rogożę, opatrzoną takimi znakami jak te, które widniały na rogoży znalezionej w sofie.

Ogłędziny lekarskie zwłok wykazały:

Na prawej łopatkę w kierunku skośnym głęboką, do kości przenikającą ranę, długości 7 centymetrów. Z prawego boku na szyi, drugą taką ranę poprzeczną, długości 4 centymetrów, również głęboką. Z tyłu na karku ranę takąż samą, długości 8 centymetrów, przenikającą aż do samego

kręgosłupa. O 3 centymetry w kierunku prostopadłym od prawego ucha widniała rana długości 2 centymetrów. Tuż nad nią jeszcze jedna rana o brzegach nierównych, długości 3 centymetrów. Przy lewym oku widniał siniak koloru ciemnoczerwonego wielkości małej monety; także dwa siniaki spostrzeżono też na klatce piersiowej denata z prawej i lewej strony na wysokości 7 i 8 żebra. Wreszcie na głowie, w okolicy prawej kości ciemieniowej, w kierunku skośnym, widniała rana długości 10 centymetrów, idąca ku środkowi głowy i zachodząca na kość czołową, z równymi brzegami, w których znaleziono kawałki mózgu.

Lekarz orzekł, że zmarłemu zadano liczne rany uderzeniami ostrego narzędzia w rodzaju topora. Dwie śmiertelne: jedna z nich w prawą kość ciemieniową i druga w szyję. Wskutek znacznego uszkodzenia mózgu i gwałtownej utraty krwi śmierć nastąpiła natychmiast.

Siniaki na szyi i piersiach wzięły się od uderzenia tęnym narzędziem i duszenia. Chciano widocznie jak najprędzej doprowadzić ofiarę do zgonu.

Zmarłego zabito, gdy śpiąc, leżał na lewym boku, na co wskazuje położenie i kierunek ran, brak ubrania oraz jakichkolwiek śladów samoobrony na rękach.

Rozdział II

ŚLEDZTWO

i PIERWSZE ŚLADY

Rozpoczęte śledztwo początkowo weszło na fałszywą drogę. Przyjęto bowiem, że zamordowany jest mieszczaninem z Kielc, niejakim Bartłomiejem Wójcikowskim, który 21 lipca przyjechał do Radomska i zatrzymał się w Hotelu Polskim, gdzie faktorowi Lewkowi Fiszlewiczowi polecił, ażeby mu wyszukał odpowiedni do kupna majątek ziemski. Fiszlewicz zapoznał Wójcikowskiego z Józefem Wilkońskim, właścicielem ziemskim w powiecie Radomsko, który chciał sprzedać swój majątek za 37 000 rubli. Po obejrzeniu folwarku Wójcikiewicz w dniu 24 lipca wyjechał z Radomska po pieniądze; miał wrócić za dwa dni, ale już się nie pojawił u Wilkońskiego. Znikł bez śladu.

W tej sytuacji śledczy aresztowali kilka osób, które ostatnie widziały Wójcikowskiego przy oglądaniu majątku. Wypuszczono je dopiero 4 września, gdy okazało się, że oto Wójcikowski żyje, ma się dobrze i właśnie pojechał do Krakowa odwiedzić mieszkających tam synów.

Tymczasem sprawdzano także inne ślady. Okazało się, że symbole na znalezionej przy zwłokach w sofie rogoży

„Ju Z” oznaczają Koleje Południowo-Zachodnie, cyfra „25” – numer stacji wysyłającej towar, w tym przypadku stację Krzemieniec, cyfra „7744” – numer porządkowy wysłanego towaru, a „nr 34” – identyfikator nadawcy. Zatem wysłano do Kijowa do zarządu policyjnego kolei prośbę o dokładne sprawdzenie okoliczności przesyłki. Okazało się, że w księgach stacji Krzemieniec pod numerem 7744 widnieje zapis wysyłki towaru na stację Częstochowa Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Towar wysłano 27 czerwca 1910 r. w imieniu niejakiego Berensteina na rzecz tego, kto przedstawi duplikat listu przewozowego. Był to transport koszy o wadze ponad 200 kg, opakowanych w rogoże. Po otrzymaniu z Kijowa tej informacji, śledczy na miejscu szybko ustalili w księgach towarowych stacji Częstochowa, że kosze opakowane w rogoże odebrał w dniu 21 lipca 1910 r. miejscowy kupiec Szmul Josek Potok mający swój sklep na Nowym Rynku.

Przesłuchiwany dwukrotnie kupiec Potok zeznał, że istotnie w dniu 21 lipca odebrał ze stacji kolejowej kosze opakowane w rogoże i przewiózł je do swojego sklepu.

Kilka dni potem do sklepu przyszedł nieznany mu mężczyzna wieku średniego i zażądał koszy. Obejrzawszy cały towar, nieznajomy uznał, że nie widzi odpowiedniego, gdyż potrzebuje znacznie większego. Wtedy Potok przypomniał sobie, że w piwnicy znajduje się duży kosz. Potok razem z nieznajomym wszedł do piwnicy i tam mu ten kosz pokazał. Klientowi kosz się nadał i kupił go, zapłaciwszy 4 ruble. Oprócz tego kupił jeszcze 3 rogoże.

Potem nieznajomy sprowadził dorożkę i kazał zapakować kosze. Potok spytał nieznajomego, gdzie wiozą te kosze. Ten odpowiedział, że do klasztoru jasnogórskiego. Potok nie zwrócił szczególnej uwagi na klienta i jego twarzy nie zapamiętał.

Rozdział III

ŚLADY i POSZLAKI

Śledztwo nabrało tempa. Rozpoczęto ponowne wywiady wśród mieszkańców wiosek leżących po drodze z Częstochowy do Zawad. Ustalono, że 25 lipca wieczorem przejeżdżały dwie dorożki parokonne. W pierwszej, zaprzężonej w parę gniadych koni, siedziało dwóch pasażerów, z których jeden był księdzem, w drugiej zaś, zaprzężonej w siwego i gniadego konia, leżała w poprzek długa skrzynia zawinięta w rogoże. Do Rudnik dorożki przybyły, gdy już było ciemno. Tutaj ludzie zatrzymali się na krótko w traktjerni (gospodzie), napili się herbaty i pojechali dalej w stronę Kłomnic.

Dorożkarzem, który w Częstochowie ma parę koni gniadych, jest Stanisław Pawlak. Zeznał on, że w połowie lipca ok. 8 wieczorem, gdy stał przy klasztorze, z klasztoru wyjechał dorożkarz nr 31 Wincenty Pianko, który wioził w dorożce jakąś długą skrzynię zawiniętą w rogoże. Gdy Pianko minął go i pojechał ku miastu, wyszedł z klasztoru znany mu ksiądz paulin Damazy Macoch, z drugim nieznanym mu wówczas młodzieńcem, który, jak okazało się następnie, był sługą klasztornym, Stanisławem Załogiem. Wsiedli oni do jego dorożki i kazali mu jechać za dorożką Pianki ku Rogatce Warszawskiej. Przy rogatce Macoch spytał Pawlaka,

czy zechce pojechać do Rudnik, a gdy ten przytaknął, kazał podróżować dalej.

Pawlaka zdziwiło, że Załóg, zwracając się do Macocha, mówił do niego „ty”. W Rudnikach Macoch zapłacił Pawlakowi; kazał mu jechać do domu, a sam z Załogiem siadł do dorożki Pianki na leżącej w poprzek skrzyni i ruszył w dalszą drogę.

Przesłuchany w dniu 2 października Wincenty Pianko oświadczył, że nie zna Pawlaka. Przewoził w lecie jakąś skrzynię z klasztoru do Kłomnic, skąd wrócił do Częstochowy, ale żadnego księdza nie woził. Po aresztowaniu, w ponownym przesłuchaniu zeznał, że w drugiej połowie lipca ok. godziny 4 po południu, gdy stał koło klasztoru, znany mu sługa klasztorny kazał podjechać do bramy „książąt Lubomirskich”, gdzie stał dobrze mu znany ksiądz paulin Damazy Macoch.

Ten polecił mu przyjechać za półtorej godziny przed bramę klasztoru. Gdy Pianko o wskazanej godzinie zajechał na główny dziedziniec klasztoru, spotkał tego samego służącego. Załóg kazał mu przejechać na małe podwórze i stanąć koło sieni, skąd korytarz prowadził do cel zakonników. Po pewnym czasie z sieni wyszli słudzy klasztorni, niosąc skrzynię zaszytą w płótno czy też w rogożę, i skrzynię tę ułożyli w poprzek na dorożce.

Gdy wyszedł ks. Damazy, Pianko zapytał: „Dokąd jedziemy, ojcie duchowny?”. Ksiądz odpowiedział: „Mieliśmy jechać na stację. Ale jedź lepiej do Rogatki Warszawskiej”.

Ksiądz Damazy ze służącym wsiedli w drugą dorożkę i ruszyli za nim w odległości ok. trzydziestu kroków.

W Rudnikach, gdzie wszyscy stanęli przy gospodzie i napili się kwasu, Pawlakowi nakazano, by wracał, a ks. Damazy ze służącym siedli na skrzyni i kazali Piance jechać do Kłomnic. Gdy przyjechali na stację, ksiądz wydał polecenie, by stanął,

lecz po parominutowej, szeptem prowadzonej rozmowie z towarzyszem polecił jechać dalej w kierunku Gidl.

Była już noc. Po pół godzinie jazdy kazano mu stanąć w jakimś zupełnie nieznanym mu miejscu, gdzie koło drogi dostrzegł rzeczkę i krzaki. Tu ksiądz i służący wysiedli z dorożki. Załóg powiedział do Pianki: „Teraz pomożesz mi, zdejmujemy sofę na ziemię. Ja chwycę od dołu i będę ciągnął do siebie, a ty z dorożki pchaj ją na ziemię, tylko powoli, bo ciężka”.

Gdy sofa oparła się już jednym bokiem o ziemię, Pianko podtrzymał ją jeszcze z drugiej strony na skraju kosza. Wtem znienacka konie ruszyły do przodu. Pianko krzyknął „Prrr!”, ale było już za późno, bo skrzynia sofy wymsknęła mu się z rąk i z impetem gruchnęła o ziemię. Rozległ się głośny trzask. Ksiądz i Załóg stanęli jak wryci. Pianko z nietęgą miną zeskoczył z dorożki i patrząc na nich, rzekł niepewnie: „E, nic się nie stało”. Odwrócił się ku leżącej na ziemi sofie, popatrzył i... „Jezus, Maria!” krzyknął przestraszony, zauważył bowiem, że z sofy odpadła boczna deska, a przez dziurę wystaje ludzka stopa. Pianko cały dygotał. Żegnając się gorliwie i szcękając zębami, wyjąkał: „...Co, co to jest?”. Załóg szarpnął Piankę za ramię: „Potem się dowiesz, teraz musimy skrzynię wrzucić do wody. Szybko, chodź tu! Dźwigniemy ją tam”. Wskazał na zarośla nad wodą. Podeszedł do sofy, wepchnął wystającą stopę do środka i dobił deskę kamieniem. Potem podnieśli skrzynię i wrzucili ją do rzeczki za krzakami. Domyślając się czegoś złego, przestraszony Pianko spytał księdza Damazego, co to wszystko znaczy. Ten odpowiedział: „To samobójca z klasztoru. Nie możemy go pochować w poświęconej ziemi”. I dodał: „Jedź dalej, to ciebie obchodzić nie powinno”.

Za Zawadami i Gidlami wjechali w gęsty las. Wtedy ksiądz Damazy kazał mu się zatrzymać, po czym stanął w dorożce i pytać go zaczął, czy kocha on Boga, Matkę Bożą i Jezusa

Chrystusa. Następnie kazał mu złożyć ręce na krzyż i rzekł: „Przysięgnij na Boga, Matkę Przenajświętszą i Wszystkich Świętych, że gdyby miano cię kiedy aresztować, nigdy nic nie powiesz, chociażby cię miano miesiącami trzymać w więzieniu, inaczej bowiem zginiesz na śmierć”.

Pianko powtórzył słowa przysięgi, bał się zresztą, że w przeciwnym razie i z nim załatwią się od razu. Po przyjeździe do Radomska Damazy kazał mu zatrzymać się obok zajazdu, wyszedł wraz z towarzyszem z dorożki, zapłacił mu za drogę 30 rubli i polecił wracać do Częstochowy inną drogą, raz jeszcze przypominając o przysiędze. Do Częstochowy Pianko wrócił nazajutrz ok. godziny 1 w południe.

Gdy Piance w trakcie przesłuchania okazano sofę znaną w Zawadach, oświadczył, że sofa podobna jest do skrzyńki, którą wywiózł z klasztoru.